

Nauka Katolicka.

(POŚLANIEC.)

„Nauka Katolicka“ wychodzi co czwartek w Bochum w Westfalii jako bezpłatny dodatek do „Wiarusa Polskiego“. Osobno „Nauki Katolickiej“ prenumerować nie można. Kto więc chce ją otrzymywać, niech sobie zapisze na pocztę „Wiarusa Polskiego“.



„Wiarus Polski“, pismo polityczne wychodzi trzy razy tygodniowo z „Nauką Katolicką“, jako bezpłatnym dodatkiem. Prenumerata na pocztę wynosi 1 markę 50 fenygów kwartalnie, a z odnośzeniem do domu przez listowego 1 markę 75 fenygów.

Módl się i pracuj!

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Wiarusa Polskiego“.

Nr. 43.

Bochum, dnia 28 października 1898.

Rok 7.

Na niedzielę 22-gą po Świątkach.

Lekeya. Filip. I. 6—11.

Bracia! Manę ufnosć w Panu Jezusie, iż który poczał w was dobrą sprawę, wykona aż do dnia Chrystusa Jezusa. Jakoż jest słuszną, abym ja to rozumiał o was wszystkich, dla tego, iż was mam w sercu i w więzieniu mojem, i w obronie, i w utwierdzeniu Ewangelii, że wy wszyscy towarzysze jesteście wesela mego. Albowiem świadkiem mi jest Bóg, jako pragnę was wszystkich we wnętrzościach Jezusa Chrystusa. I o to proszę, aby miłość wasza więcej a więcej obfitowała w umiejętności i we wszelakim zrozumieniu, abyście doświadczali, co jest pożyteczniejszego, żebyście byli szczerymi i bez obrażenia na dzień Chrystusów, napełnieni owocem sprawiedliwości przez Jezusa Chrystusa, ku sławie i chwale Bożej.

Ewangelia. Mat. XXII. 15—21.

W on czas: Odszedłszy Faryzeuszowie, radzili się jakoby Jezusa podchwycili w mowie. I postali mu uczniowie swoje z Herodyany mówiąc: Nauczycielu, wiemy, iżcś jest prawdziwy, i drogi Bożej w prawdzie nauczasz, a nie dbasz na nikogo, albowiem nie oglądasz się na osobę ludzką; powiedzże nam tedy, coć się

zda, godzili się dać czynsz Cesarzowi, czyli nie? A Jezus poznawszy złość ich, rzekł: Czemu mnie kusicie obłudnicy? Pokażcie mi monetę czynszową. A oni mu przynieśli grosz. I rzekł im Jezus: Czyj jest ten obraz i napis? Rzekli mu: Cesarzski. Tedy rzekł im: Oddajcież tedy co jest Cesarzskiego Cesarzowi, a co jest Bożego Bogu.

Kazanie o niebie.

„A sprawiedliwi pójdą do żywota wiecznego.“ Mat. 25.

Po strasznych trzech prawdach, jakie wam w poprzednich niedzielach wyłożyłem, pozostaje mi dzisiaj wesolą wam oznajmić nowinę, że Bóg na to z nieba zstąpił na ziemię, aby was z tego padółu płaczu podniósł do krainy radości, z tego poniżenia i nędzy do wiekuistej chwały, z tej biednej ziemi do szczęśliwego nieba. O niebie mam dzisiaj mówić do was, lecz jakże potrafię wyrazić to szczęście wybranych, skoro najwięksi apostołowie nie umieli go dostatecznie opisać, skoro ani rozum ludzi ani zmysł pojąć, a język człowieka wysłowić nie zdoła tego, co przechodzi wszelkie po-

jęcie, pragnienie i oczekiwanie ludzkie. Mimo to godzi się nam opisać chociaż w słabem przybliżeniu to niebo, do którego nas Bóg stworzył, do którego przez całe życie wzdychamy, za którym tęsknimy; abyśmy ztąd zachęcili się do usilnej a wytrwałej na niebo pracy. Pan Jezus opisując szczęście Łazarza w niebie, wyraził się bardzo krótko, że spoczywa na łonie Abrahawem i wszelkiej używa pociechy. U św. Jana mówi do Apostołów: aby „radość wasza była pełna“, i znowu „że tej radości nikt od nich nie odejmie“, wreszcie że mieszkać będą z Ojcem w królestwie niebieskiem. Chociaż nie możemy dokładnie znać szczęścia i chwały Świętych, bo jak mówi Apostoł Paweł św. do Koryntyjan: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce ludzkie nie pojęło, co Bóg przygotował tym, którzy go miłują“, toć wiemy, czego w niebie nie ma, a to wystarczy, abyśmy mieli wyobrażenie o niebie. Mówi bowiem Jan św. w księdze objawienia: „I otrze Bóg wszelką łzę z oczu ich, a śmierci dalej nie będzie, ani smutku, ani krzyku, ani boleści więcej nie będzie, iż pierwsze rzeczy przeminęły“. Gdzie zaś nie ma złego, tam oczywiście jest prawdziwe i niezmienne szczęście a do tego pełne, nad pojęcie i doskonałe; bo mówi Pan Jezus: „Radujcie się i weselcie się, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebie. Miarę dobrą, natłoczoną, potrzesioną i upływającą dadzą na łono wasze. Narazie radość i szczęście w niebie nigdy się nie zmniejszy i nigdy się nie skończy; gdyż Pan Jezus rzekł: „iż wnikną do żywota wiecznego“.

Otóż macie zebrane w krótkości, co jest w niebie. A teraz wejdźmy w szczegóły drogą porównania. — Czemu to, zapytacie, człowiek każdy pragnie szczęścia, zadowolenia, przyjemności, chociaż ta ziemia jest padołem płaczu i pracy? Bo Pan Bóg wszczepił w ludzkie serca pragnienie szczęścia, i umieścił człowieka pierwszego w szczęśliwym raj, ztąd po najdłuższem życiu miał być przeniesionym do nieba. Czło-

wiek jednak przez grzech utracił raj ziemski i niebo; a chociaż nam Pan Jezus odzyskał niebo, chce jednak, abyśmy przez trudy i uciski dobijali się do niego; a na ziemi po pracy tak używali niewinnych przyjemności, iżbyśmy myśl i serce nasze podnosili do nieba. Tymczasem wielu jest chrześcijan, którzy chcieliby mieć raj na ziemi, i dlatego pracują, znoją się dniem i nocą, aby jeno używać i bawić się. I czemuż są, pytam się, te wszystkie i uciechy tego świata? Są zwodnicze, bo na dzień każdej radości jest trochę goryczy, a zawsze wywołują przesytność i znudzenie. Uciechy świata są niezupełne, bo niemi serce się nie zaspokoi; wreszcie są nietrwałe i krótkotrwałe, bo co najwięcej mogą się nas trzymać aż do śmierci, z którą się skończyć muszą. To ujmuje im wartości i pociechy; nadto nieomylna to prawda, że nie ma na ziemi stałego szczęścia, owszem kto dzisiaj się śmieje, najczęściej jutro martwi się i płacze, kto dzisiaj na różach, jutro na kolcach. W niebie więc będzie szczęście i radość prawdziwa, zupełna, wiecznotrwała; a więc doskonała, która wszelkie pragnienia nasze zaspokoi. Bo czemuż się tam nie napatrzy, czem się nie rozweseli oko ludzkie? Jeśli już ta ziemia wydaje nam się piękną, jeśli to sklepienie niebieskie, ta niejako posadzka tego nieba tak śliczna; jakże to tam pięknie, miło i rozkosznie musi być w niebie? Święty Jan w księdze objawienia niebo przyrównywuje wielkiemu, wspaniałemu miastu z dwunastoma bramami, a mury jego złote, a fundamenty z drogich kamieni, a ulice i chodniki wysadzane brylantami jako szkło przezroczystymi, a miasto niepotrzebujące ni słońca, ni księżycy, ni świecy, bo morze najśliczniejszej jasności Bożej oświeca je we dzień i w nocy; owszem nocy tam ani ciemność ci nie będzie, a mieszkania będą, jakich nie ma żaden król na ziemi. Czemuż więcej rozweselą się oblicza Świętych Pańskich? Oto widzeniem Boga twarzą w twarz, jakim jest w istocie; Boga, piękności nieskończonej, potęgi niepojętej; Pana Jezusa

uwielbionego, najświętszej Maryi Panny, widzeniem prześlicznych chorób niebieskich Aniołów, Cherubinów, Serafinów; rozlicznych Świętych, tylu dusz znajomych i tych, którym pomogliśmy do zbawienia. Tam nie będzie jeden drugiemu zazdrościł, bo wszyscy będą w szczęściu i wzajemnie miłować się w Bogu i nic i nikt nie będzie zakłócał pokoju świętego. Nie będzie czychał złodziej na twój dobytek, nie będą źli ludzie ani czart przeklęty mieszać twego pokoju. Tam rozum nasz zatopiony w Bogu poznać będzie łatwo i jasno tajemnice wiary świętej, Boską moc, mądrość, ukryte sądy Boże nam się rozwidnią. Bóg, najwyższa dobroć, miłość, piękność potęg, przenikać będzie na wskrós duszę, a dusza żyć w miłości Boga, którego już nigdy nie utraci; owszem będzie ona niejako uczestniczką natury i chwały Bożej. O bogactwa! o sławo niepojęta! niezrównana! Któżby cię nie pragnął? Któżby nie był gotów, wszystko, co tylko może uczynić, wszystko znieść i wycierpieć, aby cię osiągnąć? Słusznie Augustyn święty to wszelkie szczęście niebieskie trzema wyraził słowami: „Będziemy oglądać, kochać i wychwalać Boga, czyli posiadać bez niebezpieczeństwa utraty“. Z tego widzenia Boga i posiadania najwyższego dobra rodzi się pokój niezmienny, radość niezmienna, szczęście, rozkosz czysta, najwyższa. W tem życiu chociażbyśmy mieli wszystko, co uszczęśliwia, serce nigdy się zaspokoi, boć dla nieba stworzone. Lecz skoro posądzimy Boga, staniemy się panami dóbr wszystkich, wszystkie życzenia i pragnienia nasze będą spełnione, skosztujemy rzekł radości, któremi upojeni będą błogosławieni, jak mówi prorok. Tu bóle, tam zdrowie: tu śmierć, tam życie; tu praca, tam wieczna zapłata; tu nędza, tam nieprzebrane bogactwa, już nie będziesz zachodzić w głowę, czem te dzieci twoje wyżywisz, ani cię wierzyciel nie będzie fantował, sama pamięć poniesionych dla miłości Bożej znoją, trudów i utrapień, jak też pamięć wykonanych a tak szczerze nadgrodzonych

uczynków dobrych pomnażać będzie to szczęście. Mówi Augustyn święty, że gdyby kropla tego szczęścia padła kiedy do piekła, uśmierzyłaby wszelki ból, osłodziłaby wszelką gorycz kary, osuszyłaby lzy. Sw. Piotr ujrzał tylko na chwilę cząstkę chwały Pana Jezusa przemienionego na górze Tabor, a już zapomniał o wszelkiej nędzy i wołał w uniesieniu: „Panie! dobrze nam tu być, uczynmy tu trzy przybytki“...!

Ale powiesz, bracie miły, radbym się dostać do nieba, ale to trudno przychodzi pełnić przykazania Boże, przewycięzać swe skłonności, walczyć z pokusami, pokutę czynić, cierpliwie znosić dolegliwości? itd. Ale powiedz mi też, czy można bez trudów zebrać majątek? jak to daleko musi kupiec jechać, wyrobnik iść szukać zarobku, różne niewygody ponosić dla marnego zysku? ile to lat musisz służyć, nim się zdobędziesz na dom, kawałek pola, a tylko grunt wiecznotrwały i dom niepożyty w niebie chciałbyś zdobyć bez trudu? Ażali nie warta trudzić się o niebo? Wyznał djabeł przed pewnym Świętym, że gdyby był słup od ziemi do nieba nasrożony brzytwami i kolcami, piąłby się do sądnego dnia, aby chociaż przez chwilę być w niebie. Sw. Paweł, który w zachwyceniu skosztował jedną kroplę tego szczęścia, wyznał, „że wszelkie utrapienia, jakiego ludzi spotkać mogły na ziemi, nie są godne tak bogatej zapłaty, jaka jest w niebie“.

Obrona Częstochowy.

(Ciąg dalszy.)

W chwilę potem jasny płomień oświecił podnóże klasztoru, Wrzeszczowicz kazał zapalić zabudowania przy kościele świętej Barbary. Pożar ogarnąwszy stare domostwa, wzmagął się z każdą chwilą. Wkrótce słupy czerwonego dymu wzbily się ku niebu, wśród których świeciły jaskrawe języki ognia. Nakoniec jedna łuna rozlała się na chmurach.

Przy blasku ognia widać było oddziały konnych żołnierzy, przenoszących się szybko z miejsca na miejsce. Rozpoczęły się zwy-

kle swawole żołnierskie. Rajtarowie wyganiaли z obór bydło, które biegając w przerażeniu, napęłało żalonym rykiem powietrze; owce zbite w gromady cisnęły się na oślep do ognia. Woń spalenizny rozeszła się na wszystkie strony i dosięgła wyniosłości murów klasztornych. Wielu z obrońców po raz pierwszy widziało krwawe oblicze wojny i tych serca zdrętwiały z przerażenia na widok ludzi gnanych przez żołnierzy i sieczonych mieczami, na widok niewiast ciągnanych za włosy. A przy krwawych blaskach pożaru, widać było wszystko jak na dłoni. Krzyki, a nawet słowa dochodziły doskonale do uszu obleżonych.

Ponieważ armaty klasztorne nie odezwały się dotychczas, więc jeźdźcy zeskakiwali z koni i zbliżali się do samego podnóża góry, potrząsając mieczami i muszkietami.

Co chwila podpadał jaki tęgi chłop, przybrany w żółty mundur rajtarski i złożony ręce koło ust, lżył i groził obleżonym, którzy słuchali tego cierpliwie, stojąc przy działach i przy zapalonych lontach.

Marcin stał wprost kościoła św. Barbary i widział wszystko doskonale. Na policzki wystąpiły mu silne rumieńce, oczy stały się do dwóch świec podobne, a w ręku trzymał łuk wyborny, który jeszcze po ojcu dostał, a ten go zdobył pod Chocimem, na jednym sławnym Turku. Słuchał tedy pogroźek i wymysłań, a wreszcie, gdy olbrzymi rajtar przypadł pod skałę i począł wrzeszczeć, zwrócił się Marcin do towarzyszy:

— Na Boga! przeciw Najświętszej Panie bluźni... Ja trochę niemiecką mowę rozumiem... bluźni strasznie!... Nie wytrzymam!

I zniżył łuk, jak do strzału, lecz pan Czarniecki spostrzegłszy to, przyskoczył, uderzył ręką po łuku i rzekł:

— Bóg go za bluźnierswta skarze, a ksiądz Kordecki nie pozwolił pierwszym nam strzelać, chybaby oni zaczęli.

Ledwie domówił, gdy jeździec podniósł kolbę muszkietu do twarzy, strzał huknął, a kula nie dobiegłszy murów, przepadła gdzieś między szczelinami skały.

— Teraz wolno? — krzyknął Marcin.

— Wolno! — odpowiedział pan Czarniecki.

Marcin jako prawdziwy wojak, uspokoił się w jednej chwili. Kiedy, jeździec, osłoniwszy dłonią oczy, patrzył za śladem swej kuli, on naciągnął łuk, przesunął palcem po cięciwie, aż zaświegotało jak jaskółka, a następnie wychylił się dobrze i zawołał:

— Trup! trup!

Jednocześnie rozległ się żałośny świst okrutnej strzały; jeździec upuścił muszkiet, podniósł obie ręce do góry, zadarł głowę i zwałił się w znak. Przez chwilę rzucał się, jak ryba wyjęta z wody, i kopał ziemię nogami, lecz wnet wyciągnął się i pozostał bez ruchu.

— To jeden! — powiedział Marcin.

— Zawiąż na rapciach! — rzekł żołnierz.

— Sznura z dzwonnicy nie wystarczy, jeżeli Bóg pozwoli! — krzyknął Marcin.

Wtem przypadł do trupa drugi jeździec, pragnąc zobaczyć, co mu jest, lub może kieskę zabrać, lecz strzała świsnęła znowu i drugi padł na piersi pierwszego.

W tymże czasie ozwały się polowe armatki, które Wrzeszczowicz ze sobą przyprowadził. Nie mógł on z nich zburzyć fortecy, jak również nie mógł myśleć o zdobyciu jej, mając ze sobą tylko jazdę, ale na postrach księżom walić kazał. Jednakże początek był dany, ksiądz Kordecki pojawił się przy panu Czarnieckim, a z nim szedł ksiądz Dobrosz, który artylerją klasztorną w czasie pokoju zawiadywał i w święta na wiwaty ognia dawał, dla tego za przedniego puszkarza między zakonnikami uchodził.

Przeor przeżegnał działo i wskazał je księdzu Dobroszowi, a ów rękawy zakasał i począł je szykować w lukę pomiędzy dwoma budynkami, w której wicherzyło się kilkunastu jeźdźców, o pomiędzy nimi oficer z rapierem w ręku. Długo celował ksiądz Dobrosz, bo chodziło o jego repu-

tacyę. Wreszcie wziął lont i przytknął do zapalu.

Huk wstrząsnął powietrzem i dym widok zasłonił. Po chwili jednak wiatr go rozniósł. W luce pomiędzy budynkami nie było już ani jednego jeźdźca. Kilku wraz z końmi leżało na ziemi, inni porzegli.

Zakonnicy poczęli śpiewać na murach. Trzask zapadających się budynków przy świętej Barbarze, wtórował pieśni. Zrobiło się ciemniej, jeno nieprzejrzone roje iskier, wypchniętych w górę upadkiem belek, wzbiły się w powietrze.

Trąby znów zagrały w szeregach Wrzeszczowicza, lecz odgłos ich począł się oddalać. Pożar dogasał, ciemność ogarniała podnóże Jasnej Góry. Tu i owdzie ozwało się rżenie koni, ale coraz dalsze i słabsze. Wrzeszczowicz cęfał się ku Krzepicom.

Ksiądz Kordecki ukląkł na murze.

— Maryo! Matko Boga jedyne! — rzekł silnym głosem — spraw, aby ten, który po nim nadejdzie, oddalił się również ze wstydem i próżnym gniewem w duszy.

Gdy tak się modlił, chmury nagle przerwały się nad jego głową i jasny blask miesiąca pobielił wieże, mury, klęczącego przeora i zgliszcza spalonych przy świętej Barbarze budowli.

IV.

Następnego dnia spokój zapanował pod stopami Jasnej Góry, z czego korzystając, zakonnicy tem gorliwiej zajęli się przygotowaniem do obrony. Czyniono ostatnie poprawki w murach i kortynach, przygotowywano jeszcze więcej narzędzi, służących do odparcia szturmów.

Ze Zdebową, Krowodrzy, Lgoty i Grabówki, zgłosiło się znów kilkunastu chłopów, którzy dawniej w łanowych piechotach służywali. Tych przyjęto i między obrońców włączono.

Ksiądz Kordecki był wszędzie. Odprawiał nabożeństwo, zasiadał na radach, nie opuszczał chórów dziennych i nocnych, a w przerwach obchodził mury, rozmawiał ze szlachcą i wieśniakami. A przytem w twa-

rzy i całej postawie miał taki jakiś spokój, jaki prawie tylko kamienne posągi mieć mogą. Patrząc na jego oblicze pobladłe od niewywczasów, można było sądzić, że ten człowiek śpi snem słodkim i lekkim; lecz cicha rezygnacya i niemal wesołość paląca się w oczach, usta poruszające się modlitwą zwiastowały, że czuwa i myśli, i modli się, i ofiaruje za wszystkich. Dusza jego wszystkimi siłami podnosiła się ku Bogu, a wiara wypełniała spokojna a głęboka jako strumień; wszyscy patrząc nań, odczuwali tę wiarę i ten spokój, a kto miał duszę chorą, ten zdrowiał. Gdzie zabielał jego habit, tam pogoda czyniła się na twarzach ludzkich, oczy się śmiały, a usta powtarzały: „Ojciec nasz dobry, pocieszyciel obrońca, nadzieja nasza“. Całowano jego ręce i habit, on zaś uśmiechał się, jak zorza, i szedł dalej, a koło niego, nad nim i przed nim szła ufność i pogoda.

Jednak i ziemskich środków ratunku nie zaniedbywał; ojcowie, wchodząc do jego celi, zastawali go, jeśli nie na klęczkach, to nad listami, które na wszystkie strony rozsyłał. Pisał do Wittemberga, głównego komendanta szwedzkiego w Krakowie, prosząc o miłosierdzie nad świętem miejscem i do Jana Kazimierza, który w Opolu ostatnie czynił wysilenia, aby nieszczęśliwy naród ratować; i do pana kasztelana kijowskiego, i do Wrzeszczowicza, i do pułkownika Sadowskiego, Czecha i lutra, który pod Müllerem służył, a który jednak duszę mając zacną, starał się odwieść groźnego generała od napadu na klasztor.

W Wieluniu tymczasem Wrzeszczowicz i Sadowski naradzali się z Müllerem. Wrzeszczowicz rozdrażniony oporem, jakiego doznał 8 listopada, starał się koniecznie namówić generała, do pochodu na klasztor; obiecywał w zysku skarby niezmierne, twierdził, że w całym świecie zaledwie kilka jest kościołów, któreby Częstochowskiemu w skarbach sprostać mogły. Sadowski zaś w następujący sposób opierał się temu:

— Jenerale — mówił do Müller, — waszej miłości, któryś tyle znamienitych

fortec zajął, że słusznie cię zdobywcą nazwano, wiadomo jest, ile krwi i czasu kosztować może, choćby najslabsza twierdza, jeżeli obleżeni do ostatka na śmierć i życie chcą się opierać...

— Ale mnichy nie będą się opierały? — pytał Müller.

— Właśnie sędzę, że przeciwnie. Im są bogatsi, tem zacieklej bronić się będą, ufni nietylko w moc oręża, ale w świętość miejsca, które katolicy tego kraju uważają za nietykalne. Dość wspomnieć na wojnę lutrów z katolikami w Niemczech; jakże często zakonnicy dawali przykład odwagi i zawziętości: tam nawet, gdzie sami żołnierze o obronie zwątpili? Stanie się to t teraz, tem bardziej, że twierdza nie jest tak niepoczesna, za jaką hrabia Wejhard chce ją uważać. Leży na górze skalistej, w której trudno czynić podkopy; mury, jeśli nie były nawet w dobrym stanie, to je już pewno do tej pory poprawiono, a co do zapasów broni, prochów i żywności, to tak bogaty klasztor, ma niewyczerpane skarby. Pobożne uczucie ożywi serca i...

— I myślisz, mości pułkowniku, że mnie zmuszą do odstąpienia?

— Tego nie myślę, ale mniemam, że przyjdzie nam stać pod murami klasztoru, przyjdzie posyłać po większe działa. Trzeba obliczyć, ile czasu możemy poświęcić na na Częstochowę, bo gdyby nas król jego mość dla pilniejszych spraw jakich od obleżenia odwołał, musi niezawodnieby rozgłosili, żeś wasza miłość przez nich zmuszony był do odstąpienia. A wówczas pomyśl, wasza miłość, jaki uszczerbek ponieśliby twoja sława zdobywcy, nie mówiąc już o tem, co się w kraju całym stać może? I tak... (tu zniżył głos Sadowski) sam tylko zamiar uderzenia na ów klasztor, niech się jeno rozgłosi, najgorsze uczyni wrażenie. Wasza miłość nie wiesz, bo tego żaden cudzoziemiec i niekatolik wiedzieć nie może, czem jest Częstochowa dla tego narodu. I choć ów naród tak dziś pogrążony, choć tak wyniszczony wojnami i w takim przerażeniu, nie śmie dotychczas

przeciw nam wystąpić, to jednak niech jeden strzał pod Częstochową padnie... kto wie... może straszna wojna rozgorzeć! Taka jest siła ich wiary.

Müller przyznał w duszy słuszność temu, co mówił Sadowski, prócz tego zakonników wogóle, a szczególnie Częstochowskich, miał ów luter za czarowników. Czarów zaś bał się więcej ten szwedzki generał niż dział. Jednakże chcąc się podroczyć, rzekł:

— Waszmość tak mówisz, jakbyś był przeorem Częstochowskim, albo... jakby waszmości okup zapłacili...

Sadowski był żołnierz śmiały i popędliwy, więc obraził się łatwo.

— Ani słowa więcej nie powiem! — rzekł wyniośle.

Müllera znów zagniewał ton, jakim te słowa były powiedziane.

— Ja też waszmości o więcej nie proszę! — odpowiedział — a do rady wystarczy mi hrabia Weyhard, który ten kraj zna lepiej.

— Zobaczmy! — rzekł Sadowski — i wyszedł z izby.

Wejhard Wrzeszczowicz zastąpił jego miejsce. Przywiózł on list, który odebrał od pana krakowskiego Warszyckiego, z prośbą, aby klasztor zostawiono w spokoju; lecz z listu tego nieużyty człowiek wydobyl wprost przeciwną radę:

— Proszę się — rzekł Müllerowi — zatem wiedzą, iż się nie obronią!

W dzień później pochód na Częstochowę był w Wieluniu postanowiony.

Nie trzymano go nawet w tajemnicy, skutkiem czego ojciec Jacek Rudnicki, profos z wieluńskiego konwentu, wyruszyć mógł jeszcze wczas do Częstochowy z wiadomością. Biedny zakonnik nie przypuszczał ani przez chwilę, aby Jasnogórecy bronić się mieli. Chciał ich tylko uprzędzić, aby mieli się czego trzymać i uzyskali dobre warunki. Jakoż wieść ta przynębiła umysły braci zakonnej. W niektórych dusze zwałowały od razu. Lecz ksiądz Kordecki pokrzepił ich, dnie cudów obiecał, sam nawet widok śmierci miłym uczynił, i tak zmienił ich wedle du-

cha własnego, że poczęli się gotować na napad, jak zwykli byli gotować się na wielkie uroczystości kościelne, zatem z radością i uroczyście.

Jednocześnie świeccy naczelnicy załogi, pan miecznik Zamojski i pan Piotr Czarniecki, czynili także ostatnie przygotowania. Spalono mianowicie wszystkie kramy, które tuliły się na okół murów fortecznych, a które mogły szturmie nieprzyjaciółom ułatwić; nie oszczędzono nawet budowli bliższych góry, tak, że przez cały dzień pierścień płomieni otaczał twierdzą; lecz gdy z kramów, belek i tarcic zostały tylko popioły, działa klasztorne miały przed sobą puste przestrzenie, nienajeżone żadnymi przeszkodami. Czarne ich paszcze patrzyły swobodnie w dal, jakby wyglądając nieprzyjaciela niecierpliwie i pragnąc go jak najprędzej swym złowrogim grzmotem powitać.

Tymczasem zimna zbliżały się szybkim krokiem. Dął ostry wiatr północny, błoto zmieniało się w grudę, a rankami wody, co płytsze, ścinały się w cienkie, nikle lodowe skorupki; ksiądz Kordecki obchodząc mury, zacierał swe zsiniałe ręce i mówił:

— Bóg mrozy w pomoc nam ześle! Ciężko będzie im baterye sypać, podkopy czynić, i przytem wy będziecie się do ciepłych izb luzowali, a im chłody zbrzydzą prędko oblężenie!

Lecz właśnie dla tego samego powodu Burhard Müller pragnął skończyć prędko. Wiódł on ze sobą dziewięć tysięcy wojska, przeważnie piechoty, i dziewiętnaście dział.

Z Wielunia do Częstochowy droga krótka. W dniu 18 listopada miało się rozpocząć oblężenie. Lecz generał szwedzki liczył, że nie potrwa nad parę dni i że drogą układów twierdzą zajmie.

Tymczasem ksiądz Kordecki przygotowywał dusze ludzkie. Przystępowano do nabożeństwa, jakby w wielkie i radosne święto, i gdyby nie niepokój i bladeść niektórych twarzy, możnaby było przypuszczać, że to wesołe a uroczyste „Alleluja!“ się zbliża. Sam przeor Mszę celebrował, o-

zwwały się wszystkie dzwony. Po Mszy nabożeństwo nie ustawało jeszcze, wyszła bowiem wspaniała procesya na mury.

Ksiądz Kordeckiego, niosącego Przenajświętszy Sakrament prowadzili pod ręce: miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki. Przodem szły pacholęta w komżach, niosąc trybularze na łańcuszkach, bursztyn i mirę. Przed i za baldachimem postępowały szeregi białej braci zakonnej, ze wzniesionymi ku niebu głowami i oczyma, ludzie różnych wieków, począwszy od starców zgrzybiałych, skończywszy na młodzieniaszkach, którzy zaledwie do nowicyatu weszli. Złote płomyki świec chwiały się na wietrze, a oni szli i śpiewali, zatopieni całkiem w Bogu, jakoby niczego więcej na tym świecie niepamiętni. Za nimi widziałeś pogolone głowy szlacheckie, zapłakane oblicza niewiast, ale spokojne pod łzami, wiarą i ufnością natchnięte. Szli i chłopci długowłosi w sukmanach; małe dzieci, dziewczęta i chłopcy zmieszani w tłumie, łączyli swe anielskie, cienkie głosiki z ogólnym chorałem. I Bóg słuchał tej pieśni, tego wylania serca, tego uciekania się z pod ucisków ziemskich, pod jedyną ochronę skrzydeł Bożych. Wiatr ucichł, uspokoiło się powietrze, niebo wyblękitniało, a słońce jesienne rozlało łagodne, bladeżłote, lecz ciepłe jeszcze światło na ziemię.

Orszak obszedł raz mury, lecz nie wracał, nie rozpraszał się, szedł dalej. Blaski od monstrancyi padały na twarz przeora i ta twarz wydawała się od nich, jakoby złota także i promienista. Ksiądz Kordecki oczy trzymał przymknięte, a na ustach miał nieziemski prawie uśmiech szczęścia, słodczy; duszą był w niebie, w odwiecznym weselu, w niezmaconym spokoju. Lecz jak gdyby z nieba odbierał rozkazy, aby nie zapominać o tym ziemskim kościele, o ludziach i o twierdzy, i o tej godzinie, która miała nadejść, chwilami zatrzymywał się, otwierał oczy, wznosił monstrancyę i błogosławił.

Więc błogosławił lud, wojsko, chorągwie kolorowe jak kwiaty, a migotliwe jak

tecza; potem błogosławił mury i wzgórza na okolice patrzące, potem błogosławił działa mniejsze i większe, kule ołowiane, żelazne, naczynia z prochem, dyłowania przy armatach, stopy srogich narzędzi do odparcia szturmujących; potem błogosławił wioskom na dalekościach leżącym, i błogosławił północy, południu, wschodowi i zachodowi, jak gdyby chciał na całą okolicę, na całą tę ziemię, moc Bożą rozciągnąć.

Biła godzina druga z południa, procesja była jeszcze na murach, a wtem na krańcach, gdzie niebo zdawało się stykać z ziemią i rozciągały się mgły sinawe, w tych mgłach właśnie, zamajaczało coś i poczęło się poruszać, wypelzały jakieś kształty, z początku mętne, które zwierając się stopniowo, stawały się coraz wyraźniejsze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zniewaga krzyża św.

Casamicciola, obok Neapolu, jest to miejsce kąpielowe i lecznicze. W naszych czasach są podobne miejsca zwyczajnie miejscami zepsucia i rozpusty. Za rozpustą idzie krok w krok bezbożność. W czasie ostatnich zapust bawiła się Casamicciola wybornie. Walano się w błocie najwyuzdanych zbrodni. Lecz i to nie było jeszcze dosyć dla pewnej części mieszkańców. Chcieli rzeczy najczystsze i najświętsze znieważać. Niektóre spodłone kobiety poprzebierały się za księży i zakonników i poniewierały w ten sposób publicznie suknie, które dla sztyderstwa przywdziewały. Nie dość na tem. Poszły w procesji do proboszcza i żądały od niego, aby im pożyczył krzyża kościelnego, „by i on miał zapusty“. Proboszcz do głębi zasmucony i oburzony, rozkazuje im precz się oddalić. One tedy idą, i sporządziwszy na prędce krzyż, powiesiły na nim haniebną maskę — i tak wśród śmiechów i bezwstydných śpiewów obchodziły miasto, a żadna władza tej zniewagi Krzyża świętego nie zakazała. We trzy dni potem, w piątek, w dzień bolesnej męki Pańskiej,

pomścił Bóg zniewagę krzyżowi, a przez to, Jemu samemu wyrządzoną. Ręka Jego wszechmocna skinęła — a Casamicciola stała się jedną kupą gruzów. Straszne trzęsienie ziemi żywcem bezbożnych pochłonęło.

Świętojózafacie

czyli składka na ubogich studentów katolicko-polskich.

W kasie (zob. nr. 42)	176,37 m.
Na chrzcinach u pana Stanisława Pięknego w Günnigfeldzie: St. Piękny z żoną 1 mr., B. Kasperski z żoną 1,50 mr., B. Rożeński z żoną 1,50 mr. (nadesłał i 20 fen. na porto zapłacił p. Bernard Rożeński)	4,00 „
Na chrzcinach u pana Tomasza Błaszczyka w Altenbochum: T. Błaszczyk 1 m., P. Udziak 30 fen., Fr. Adamkiewicz 1 m., Fr. Król 50 fen., A. Pawlus 50 f., W. Grabowski 30 f., K. Kałmucki 50 fen., Fr. Urbaniak 50 fen., (wręczył p. Stelmaszyk)	4,60 „
Na chrzcinach u p. Krzyżańskiego w Oberhausen: Ig. Krzyżański z żoną 1 mr., Fr. Kordylasiński z żoną 50 f., A. Glapa z żoną 50 f., J. Latuszek z żoną 50 f., J. Lutyński z żoną 50 fen., T. Kubiak z żoną 50 f., F. Dziuba z żoną 50 f., St. Krzyżański 50 f., A. Białas 1 m., M. Michalski 1 m., T. Krzyżański 50 f., J. Sobczyk 50 f., J. Bandosz 50 fen., Fr. Wawrzyniak 50 f., Staś Krzyżański 20 f., Kazia Dziuba 10 f., Antoś Glapa 10 f., Józio Glapa 10 f., Leoś Glapa 10 f., Władysław Łukowski 10 fen. (wręczył pan Feliks Dziuba)	9,20 „
Na chrzcinach u p. Franciszka Neubauera w Bochum (wręczyła pani Borkowska)	3,00 „
Na imieninach u p. Stefana Rejera w Watten-scheid	5,00 „
Ze skarbonki Tow. św. Barbary w Bochum (wręczył p. W. Sobek)	1,13 „
Razem	203,30 m.

Odchodzi:

L. P. w B. stypendyum	16,00 m.
K. K. w B. szkolne za 2-gi kwartał	25,00 „
P. O. w Ch. szkolne za III-ci kwartał 30 mr., pensya za październik 30 mr., razem	60,00 „
Porto	0,20 „
	101,20 m.
	101,20 „
	Pozostaje w kasie: 102,10 „

Bóg zapłać! Św. Józafacie, módl się za nami!

25 10. 1898

pro: Ks. Liss.

Jan Bieliński, Bochum Maltheserstr. 17a.

Kalendarz tygodniowy.

Październik.

- 30. Niedziela. Marcela R.
- 31. Poniedziałek. Wolfganga B. †

Listopad.

- 1. Wtorek. **Wszystkich Świętych.**
- 2. Sroda. Dzień Zaduszny.
- 3. Czwartek. Humberta B.
- 4. Piątek. Karola B.
- 5. Sobota. Zacharyasza i Elżbiety.